

## Marysie były dwie

Jedna wysoka i szczupła, druga nieduża i drobna. Obie pracowały w technice, nagrywały audycje, przegrywały taśmy przywożone przez dziennikarzy z terenu, kopiowały, a stosując technikom tylko znane gusła i zaklęcia, ratowały nagrania, które bez ich wiedzy tajemnej, zawodny sprzęt reporterski skazany byłby na zagładę.

Duża Marysia przepięknie robiła na drutach. W czasie, kiedy akurat wszelkie dzianiny znajdowały się u szczytu mody, była to umiejętność niezwykle cenna i pożądana. Jeśli się miało dość wytrwałości i uporu, mogło się zdarzyć, że udało się uprosić panią Marysię, żeby zrobiła jakąś sukienkę albo sweter. Nie było to łatwe, ale kiedy już wreszcie któregoś pięknego dnia pani Marysia dzwoniła i burkliwym tonem (była bowiem Duża Marysia nieco burkliwa) wydawała polecenie: „Pani przyjdzie odebrać”, leciał człowiek jak na skrzydłach z Niedziałkowskiego na aleję Wojska Polskiego, czyli z redakcji „do techniki”, gdzie wpadał w zachwyty i ekstazę, długo z tego stanu nie wypadając.

Jakoś tak się potem zdarzyło, że Duża Marysia przeszła z działu technicznego do centrali telefonicznej, gdzie odprawiała swoje czary mary nad deską pełną dziurek i pulpitem pełnym wtyczek, wyjmując wtyczki z jednych dziurek i wtykając je do innych, a wtedy (o, cudzie!) słyszeliśmy głos człowieka, który do nas dzwonił, albo człowiek, do którego my dzwoniliśmy Słyszał nas. Taka to była centrala!

I tam pozostawmy Dużą Marysię, snując dalej wątek Małej Marysi.

Mała Marysia miała i nadal ma pewną cechę, na pierwszy rzut oka zupełnie niewidoczną, która sprawia, że przytrafiają się jej przygody, jakie nigdy nie spotkałyby kogoś, na kogo los mniejszą by zwrócił uwagę.

Każdy może się zatrzasnąć na klatce schodowej, bez możliwości dostania się do mieszkania. Marysi jednak musiało się to zdarzyć akurat wtedy, kiedy będąc młodą mężatką (co nie jest bez znaczenia dla dalszego snucia), postanowiła zrobić pranie. Żeby nie tracić czasu, wzięła się za to z samego rana, kiedy tylko teściowa i mąż wyszli do pracy, pozostając nadal w koszulce nocnej, składającej się z samych koronek i falbanek, jak to młoda mężatka.

Było lato, okna i drzwi pootwierane, a na rusztowaniu, tuż obok balkonu Małej Marysi, robotnicy kładli nową elewację. Czytelniku kochany, jeśli myślisz, że murarze pomogli Marysi przedostać się przez okno z klatki schodowej na rusztowanie, a z rusztowania przez balkon do mieszkania, to oczywiście masz rację. Dla pecha Marysi to jednak było za mało. Z jakiegoś powodu chwilę potem ktoś zadzwonił do drzwi Marysi, Marysia krok za próg i cała historia powtórzyła się w tym samym schemacie.

Do dziś, kiedy sobie nieraz tę historię wciąż na nowo opowiadamy, zawsze ktoś skomentuje domniemane doznania estetyczne (i inne) robotników z rusztowania przy balkonie Małej Marysi.

A kiedy przenieśliśmy się do wieżowca, to dopiero było!

Nowe studia nagraniowe miały masywne drzwi, olbrzymie, ciężkie klamki, a pod nimi wielkie dziurki od klucza. Drzwi otwierało się za pomocą stosownie wielkiego klucza, nie jakiegoś tam kluczyka, który można odruchowo wsunąć do kieszeni lub wrzucić do torebki. Uwaga: do każdego studia był tylko jeden, jedyny

klucz, a bez studia, jak wiadomo, radio żyć nie może...

Któregoś dnia, tak jakoś około dziewiątej, spotykam się przy portierni z Małą Marysią, która o tej porze, po nocnym dyżurze, powinna się przewracać na drugi bok we własnym łóżku.

Po dyżurze Marysia pojechała do domu, zabierając ze sobą klucz, a kiedy okazało się, że do studia wejść nie można, wezwano ją z powrotem, słusznie się domyślając, że na pewno ona ... i musiała wrócić.

I kiedy tak stałyśmy przy tej portierni, Marysia dokonała ogólnego podsumowania: „Pani Mario, jest jak jest, ale niech pani sobie tylko pomyśli: państwo są ze mną przez kilka godzin, i to nie co dzień. Rozumiem, że wszystkie te moje przypadki mogą być dla innych męczące, irytujące, nawet oburzające. Ale proszę wziąć pod uwagę, że Państwo potem wracają sobie spokojnie do domu, a ja jestem ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę!”

Nota:

Jak może ktoś niezbyt krytyczny zauważył, opowiadka powyższa nosi pewne cechy „baroku tomczykowskiego”. Jego użycie ma być skromną próbą hołdu, składanego koledze. Nazwa stylu pochodzi od nazwiska Kazia Tomczyka, utalentowanego dziennikarza i kochanego kolegi, który tę odmianę baroku stworzył i posługiwał się nią w sposób mistrzowski, zwłaszcza w felietonach.

Maria Okulicz